

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1846.

Poznań, dnia 6. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryżskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Były momenta w życiu narodów, że cały duch człowieka wznosił się tylko do pozaświatowości, badał Boga, niebo, zniżał się do gwiazd i księżyca, ale odsuwał się od ziemi i od człowieka. Niemożna utrzymywać, że owe wieki były nierozsądne, że złe przyniosły owoce, że ich kierownicy byli tylko zwodzicielami. Miały one podobno więcej szlachetności w swém dążeniu, aniżeli nasze. Odrzucając człowieka od ziemi, odrzucały go od materializmu, od egoizmu i wszystkich jego skutków. W historii wieki te nieprzedstawiają jednak pięknego obrazu. Jak bowiem dążenia i cele ludzi oświeconych były wzniosłe, anielskie, tak postęпки massy ciemnej były szkaradne, czartowskie. Owi ludzie utopii, teorii życia społecznego, ludzie pozaświatowości, mało podobno wpłynęli na społecznych, ale za to potomność, a którą my dzisiaj stanowimy, winna im bardzo wiele.

Wiek XVIII, który słusznie się nazywa materialnym, rzekł się pozaświatowości; jego uczeni niekłopotali się o Boga, ducha, ale o samą tylko ziemię. Wziąwszy ziemię ze wszystkimi bryłami i ciałami materję stanowiącemi, czyli naturę za podstawę i początek wszystkiego, albo raczej przyjąwszy, że wszystko było sobie początkiem, czyli że wcale niema początku: ciało, materję, podnieśli do najwyższej godności. Człowiek stał się tylko machiną organiczną, bez istoty duchowej; wmówiono w niego, że pierwszym i głównym, a nawet jedynym obowiązkiem, dbać o swoje ciało. Z idei ośmnastego wieku musiał się wywinać najsilniejszy egoizm. Ten egoizm wskazywany przez oświatę, na cel i dążność zamieniony wszedł w życie, natworzył egoistów. Histo-

rya zatem narodów chrześcijańskich przed wiekiem XVIII. jednych za bardzo oddalała od ziemi, a drugich, to jest nieoświeconych, pozostawiała nazbyt przy ziemi i świat był przepełniony uciemczeniami, przekupstwami, rozbojami. Historia w XVIII. wieku przyczepiła ludzi oświeconych do ziemi, zamieniła ich w egoistów, którzy sztucznie ciągnęli bogactwa i korzyści do siebie, a masę wprawiła przez to w nędzę i napędziła ją do przebiegłego oszustwa i do kradzieży. Dwa te sprzeczne stanowiska, to jest pozaświatowe i materialistyczne [muszą się połączyć w jedno, i to połączenie jest zagadnieniem naszego czasu. Człowiek powinien wierzyć w coś wyższego, potężnego po za światem, uznawać w sobie ducha, istotę Boską, ale też musi pamiętać, że jest materją, że potrzebuje wyżywienia, odzieży, dachu nad głową. Że jeden nie może mieć prawa ciągnięcia wszelkich do siebie korzyści, aby przez to tysiące nędzę cierpiały, a wielu umierało z głodu. Egoizm nie może już być pierwiastkiem życia społecznego, lecz tylko interes ogółu. Zgoła każdy musi pamiętać, że wszyscy ludzie obok żyjący mają prawo do zaopatrywania swoich potrzeb duchowych i fizycznych, czyli prawo do oświaty i dobrego bytu. Prawo oświaty i dobrego bytu dla każdego człowieka jest już prawie przyznane, a skoro zacznie wchodzić należycie we wykonanie, musi przemienić wszystkie istnące stosunki. Jeżeli więc niedawna przeszłość przedstawiała niezmiernie ciekawe wypadki, to zbliżająca się przyszłość jeszcze ciekawsze zapowiada.

Powieść o Jasiu

I o trzech osobliwych zwierzątkach.

przez L. S.

Za dawnych czasów był sobie pewien kupiec, który miał syna jedynaka, dobrego, miłego jak aniołek, ale nadzwyczaj prostodusznego; i z tej przyczyny ludzie nazywali go durnowatym. Po wiele razy skłaniał go ojciec, aby sobie jaki stan obrał, lub rzemiosło; chłopakowi nie szło to w głowę, a do kupiectwa najmniej miał pociągu; żadną też miarą nie umiał grosza utrzymać, i nigdy poznać się na wartości pieniędzy i towarów. Co tylko miał, zwykle oddawał ubogim lub swoim towarzyszom, a lada zabawka milszą mu była niż pieniądz złoty. Ojciec smucił się tém, przepowiadając mu, że umrze pod płotem, a nawet często i wybił go za to. Lubo przyjaciele i sąsiedzi pocieszali ojca, że jeszcze chłopak wyjdzie na człowieka, z tém wszystkiém rośł w lata, rozumu nieprzysbywało.

Pewnego dnia kupiec przyzwał synka do siebie i rzekł: czas mój Jasiu żebyś się wziął do czego. Prędzej lub później obejmiesz mój handel, musisz więc przyuczać się zawczasu. Oto masz sto talarów, weź je, w pobliskim mieście jest jarmark. Pójdiesz i nakupisz mi za to różnych materyi; ale niepodrwij głowę, abym się niewstydził za ciebie. — Mój ojcie — odrzekł Jaś — przyrzekam ci, że dobrze się sprawię, i że ci wstydu nie zrobię. — Dałby Bóg, mój synu! ruszaj więc i niegap się twoim zwyczajem po drodze.

Jaś ruszył w drogę z mocnym postanowieniem wykonać polecenie ojcowskie. Gościniec właśnie przez las przechodził. Przebywszy połowę boru, ujrzał siedzącą nad źródłem dziwniej urody pannę, przyglądającą się jakiejś rzeczy, którą miała w ręku. Jaś zbliżył się, i postrzegł na tylnych łapkach stojącego chrabaszcza, a w przednich trzymającego małą gitarę, na której grał jakby najzawołanszy mistrz hiszpański. Panna zdawała się z wielkiem upodobaniem przysłuchiwać owemu osobliwemu muzykantowi. Jaś toż samo z takim zachwyceniem go słuchał, że nakoniec niemogąc dłużej wytrzymać, odgarnął gałęzie krzaku i rzekł do niej: jakież to osobliwe masz pani zwierzątko! czy niechciałabyś mi je sprzedać? — A co mi dasz? — zagadła panna. — Sto talarów — odparł Jaś — tylko tyle mam w kieszeni. — Zgoda — odpowiedziała. Poczém zamknęła muzykanta w pudełeczko wyścielone mchem i listkami, i oddała Jasiowi, który jęj nawzajem oddał wór z talarami, pokłonił się pięknie i odszedł.

Bez najmniejszej niespokojności i trwogi wrócił Jasio do domu, zaglądając co chwila do chrabaszcza, któremu grać sobie kazał. — A cóż Jasiu! — wołał ojciec postrzegłszy go — czyś dobre kupno sprawił? — Wyborne, mój ojcie — odrzekł Jaś — za sto talarów nabyłem wielką osobliwość, cudo niesłychane w całym świecie. — Cóż takiego? zapewne jaką sztukę złotogłowu? — Fraszka złotogłów, oto kupiłem chrabaszcza grającego na gitarze.

Na te wyrazy osłupiał prawie kupiec; był pewny, że syn jego dostał pomięszania zmysłów, lecz zaraz się o prawdzie przekonał, widząc na stole chrabaszcza wygrywającego jakąś precudną aryę. — Przyznaj moj tato! — wołał Jaś — czyś widział coś podobnego kiedy? — Lecz zamiast podziwienia ojcowskiego postrzegł wzniesioną pięść, mającą misterne zwierzątko ugodzić, i ledwo tyle miał czasu, że je sobą zasłonił i oberwał kulaka po uchu.

Widząc, że to nieprzelewki, schował czémprędzej chrabaszcza w pudełko, i wzięwszy nogi za pas, uciekł do swojej izdebki, gdzie go w bezpiecznym miejscu położył.

W pół roku potém, znowu kupiec przywołał syna i tak się doń odezwał: synu mój, chcę ci przebaczyć dawniejsze głupstwo, któreś popełnił, wyrzucając sto talarów za podły owad, któryś mi przyniósł zamiast jedwabnych towarów. Chcę ci, jak powiadam, przebaczyć tę lekkomyślność, lecz pod warunkiem, że błąd dawny naprawisz. Słuchaj więc: przedwczoraj zdechł mi koń od furmanki; dowiedziałem się, że do miasta przybył Turczyn, mający wyborne konie. Weź te sto talarów, i kup mi rumaka dobrego wzrostu i pięknej maści. Słowem, niepodrwij głowę i staraj się, abyś mi wygodził.

Jaś zgarnął talary, a przybywszy do onego źródła w lesie, znowu tę samą zastał pannę siedzącą jak wprzody. Tą razą przysłuchiwała się śpiewaniu polnego świerszcza, siedzącego na białej jęj rączce. Zwierzątko to wywodziło najśłodsze tony, jakby najzawołanszy śpiewak włoski. Jaś oczarowany, odchodził od zmysłów. — Ach pani! — wykrzyknął — świerszeczek twój może iść o pierwszeństwo z wszystkimi słowiki. Chcieliby mi odprzedać to cudowne stworzenie; uszczęśliwisz mię na całe życie i wdzięczne serce pozyskasz. — Nie mam właściwie na sprzedaż mojego świerszcza — odrzekła panna — jednakże, jeżeli ma cię to uszczęśliwić, chętnie go odstąpię; lecz ile mi dasz za niego? — Wiemci ja — odrzekł chłopiec — że to droższy skarb niż wszystko złoto na świecie; lecz jeżelibyś przyjęła pani te sto talarów?... — Zgoda — rzekła panna z uśmiechem, i podała mu małą

klateczkę uplecioną ze słomy, w której zamknięty był polny świerszcz.

Jaś wrócił do domu; — a gdzie jest koń? — zapytał ojciec. — Kochany tato — odpowiedział Jaś — niegniewaj się, konik śpiewa anielskim głosem. — Co znowu? — rzekł kupiec — kupiłeś mi konia co śpiewa, a to niesłychana osobliwość! Mniejsza o to, byle był zdrów i mocny do pracy. Ależ powiadaj, jakim głosem on śpiewa? — Zaraz usłyszysz go ojcie — rzekł Jaś — i odmykając klatkę, zawołał: śpiewaj świerszczyku!

Na ten rozkaz świerszcz zanucił cudowną piosenkę, a głos jego tak przenikał do głębi duszy, że i sam kupiec, choć tylko pieniądze kochał, wpadł w jakieś nadzwyczajne zachwycenie. Trwało to póki śpiewał, lecz skoro skończył, kupiec opamiętał się i wrócił do dawniej natury: zapewne — mówił on — osobliwe to jest zwierzątko, lecz co mi do tego, kiedy ci kazał kupić konia, a tyś mi kupił muchę. Chwałę wielki jej talent, ale do kolebki jej niezaprzęę. Czy już nigdy nieprzestaniesz płatać mi takich figli? Tą razą jeszcze ci przebaczę; daj mi tego owada, przedam go szachowi perskiemu, a za wzięte pieniądze, będę miał sześć koni za jednego.

A Jaś i za złote góry niechciał pozbyć swego śpiewaka, mimo że ojciec ciągle o to nacierał. Napróżno i gniewał się i groził, gniew i groźba nie nepomogły, tak, że w końcu, nakrzyczawszy chłopcu nad głową, rad nierad ustąpić musiał.

Zdarzyło się, iż kupiec chcąc po raz trzeci wypróbować zdolności syna, posłał go do miasta za kupnem wyborniej małmazji. — Właśnie wyprawiał wielką ucztę na swoje imieniny, na którą sprosił był mnóstwo dostojnych panów i pań. — Pamiętaj Jasiu — mówił wyprawiając go — pamiętaj dobrze się sprawić, bo tu chodzi nie o lada fraszkę. Jeżeli mi zrobisz po myśli, powrócę ci całkiem do moich względów, jeżeli przeciwnie, odejmę ci miłość ojcowską i jeszcze w obec kompanii zawstydzę.

Jasio w najlepszej wierze przyrzekł dopełnić święcie polecenia ojcowskie, i w duchu postanowił sobie dotrzymać tych przyrzeczeń. Na nieszczęście, zawsze mu wypadło ów las przebywać. Wszedłszy weń, układał sobie w myśli, że skoro usłyszy jakie granie, lub śpiew, natychmiast z całych sił będzie uciekał, aby go znowu niewzięła pokusa. Zbliżywszy się do źródła, serce mu zabiło gwałtownie; worek z talarami ścisnął pod pachą, lecz ani oko ani ucho nieostrzegło go o żadnym niebezpieczeństwie. Już się miał za zwycięzcę, gdy niespodzianie mijając gestę krzaki laszczyny, oko w oko spotyka się z nado-

bną panną, która z zachwyceniem przypatrywała się pajakowi tańczącemu na jej dłoni. Nic równie pociesniejszego, jak było widzieć zwierzątko to, wyprowadzące najdziwniejsze płasy na długich i cienkich nóżkach. Wziąwszy się jedną łapką pod boki, że trzeba było pękać od śmiechu, puszczało się kozaczka, a tak dziarsko, tak zawieszisto, z takimi prysiadami, jakby rodowity Ukrainiec; znowu niby wiskając na głowę czapeczkę, i krzesząc ognia w podkówki, zawiodło krakowski taniec, stojąc na chwilę obrócone ku pannie, jakby chciało śpiewać: a jacyżto, jacy, tacy, chłopcy Krakowiacy! potem szedł mazurek posuwisty, z hołubcami, wykrętasami do upadłego — był i poważny polonez, i walezyk niemiecki i kadryle francuzkie, a wszystko wykonane z taką gracyą, z takim narodowym zacięciem, że można nań było całe życie patrzeć i nieznudzić się. Boginka — trzeba wiedzieć, że ta panna była boginką — umierała prawie od śmiechu. Jaś, który jak w tęczę patrzył w osobliwego tancerza, również od śmiechu zrywał boki. Zdawało się, że baletnik wdzięczny za te oznaki radości, sam siebie chciał przesadzić, bo coraz to nowy skok, nowy łamaniec, nowy koziołek w powietrzu. Żadne małmazje w świecie — myślał sobie Jasiu — niemogą lepszego sprawić humoru, jak sam widok tego pajaka. Niewyszło i dwóch pacierzy, Jaś przybił targu, i wracał do domu z twarzą uweseloną, widokiem uciesznym, i układając sobie, że goście ojcowskich równaż krotochwilą uraczy.

Właśnie już wszyscy sproszeni goście przybyli i zabierali się do stołu, przeto ojciec nie miał czasu wypytać się Jasia jak sprawił polecenie. Wszystko szło dobrze aż pod koniec obiadu, lecz gdy podano marcepany i różne torty, solenizant głos zabrał: dostojni senatorowie i mili sąsiedzi, skosztujemy teraz przedziwnego winka, które syn sprowadził od sławnego winiarza Greka. Osądźcie dobrodzieje moi, ażali jest znawcą. Hej! Jasiu, każ podać wino i rostruchany.

Na to wezwanie Jaś powstał, i tak towarzystwo zagał: wielce dostojni i mili panowie! jużście wypróbnili niejedną garniec wybornego węgryna, możecie wypić drugie tyle i lepszego, gdyż piwnica mojego ojca obficie zaopatrzona. Lecz przysmak daleko rzadszy niż najlepsze wino chowam dla was na wety. Podajcie tu misę! Na tej misie moi panowie ujrzyćcie najosobliwsze i najtrudniejsze tańce i łamane sztuki, wykonane z nieporównanym mistrzostwem przez pajaka. Patrzcie! oto się balet zaczyna!

Grzmiący hałas, z jakim przyjęto tę przemowę Jasia, tak dalece przeraził biednego pajaka, że się

przeląkł, i jak oparzony uciekł do kieszeni swego pana.

— Hola młokosie! — krzyczeli jedni — chcesz nas wystrychnąć na dudków? — Dajcie mu pokój! — wołali drudzy — niech się popisuje z swoim pajakiem. Niektóre z delikatnych dam zaczęły dostawać spazmów na widok pajaka; a w całym tym zgiełku głos kupca solenizanta głużył inne wrzaski: ha! łotrze! nowegoś mi figla wypłatał. Poczekaj! już to po trzeci raz mości panowie, ale i po ostatni. Precz mi z oczu nędzniku! precz z domu, któryś mi zapowietrzył chrabąszczami, świerszczami i pajakami. — Przeklinam cię! precz mi natychmiast! — a chcąc dobitniej gniew swój wytłumaczyć, porwał z przed siebie wielki złoty rostruchan i cisnął nim na głowę synowi. Szczęściem, umknął się Jaś przed potężnym ciosem, inaczej byłby na miejscu został. Niebyło już czego dosiadywać przed taką burzą, wyskoczył więc z izby, a gdy goście wstrzymywali ojca, który go chciał gonić i zabić, chłopak tymczasem wpadł do swojej izdebki, zabrał chrabąszcza i świerszcza, i nawet nieogładając się, wziął nogi za pas.

Gdy mu się ciągle zdawało, że ojciec za nim goni, więc długo pędził, nieśmiejąc ani stanąć, ani obejrzeć się, a tak lecąc i lecąc, dostał się do jednego kraju, gdzie córka królewska jedynaczka cierpiała czarną melancholię. Siedm lat mijało, jak nikt niewidział na jej ustach uśmiechu. Niewiedziano ani przyczyny tej choroby, ani lekarstwa; to tylko pewna, że wszyscy lekarze oświadczyli, jako ta choroba wtrąci piękną królewnę lada dzień do grobu.

Król w rozpacz, niewidząc innego sposobu, kazał przy odgłosie trąb i bębnow ogłaszać woźnym po ulicach, że kto królewnę śmiechu nabawi, odda mu ją za żonę, z połową królestwa w posagu. Jasio słyszał to ogłoszenie, nienamysławiając się długo, prosto poszedł do zamku, jako niezawodny sposób rozśmieszenia królewny. Mimo ubogiej powierzchowności Jasia, gdyż suknie jego wytarły się i wypłowiwały w długiej podróży, wpuszczono go jednakże na królewskie pokoje. Dwór się zgromadził, a piękna melancholiczna królewna zasiadła obok ojca na złoconym tronie pod baldachimem, z którego kapotało złoto. U podnóżka tronu postawiono stół marmurowy, na którym Jasiu postawił swoje trzy zwierzątka, rozkazując im śmiałym i donośnym głosem: graj, śpiewaj i tańcz! I wnet na rozkaz chrabąszcz zaczął brząkać na gitarce, świerszcz polny zawiódł najcudniejszą piosenkę, a pajak puścił się w płasy. Dwaj muzykanci zdawali się między sobą walczyć o pierwszeństwo; pajak zaś dowiódł, że mu niema równego tancerza

na świecie; z początku przetańczywszy poloneza, mazura, krakowiaka, kołomyjkę, kozaczka, przeszedł do cudzoziemskich skoków, jak kadryl, menuet, gawot, boléro, fandango, anglez, tarantela, aż skończył na węgierskim. Przy tém wszystkiém najdziwniejsze wyprawiał jest, dygając w prawo i w lewo, i posyłając pocałunki całemu towarzystwu. Na ten ostatni figiel, piękna melancholiczka niemogła dłużej się powstrzymać i parsknęła serdecznym śmiechem, który był tak gwałtowny i bez miary, że aż się lękano o jej zdrowie. Sam król już myślał, że wpadł z deszczu pod rynew; lecz symptoma szczęśliwie przeszło, i królewna wróciła do naturalnego humoru. Koncert i balet wyprawiony przez Jasia, rozlał wesołość na całym dworze i w całym królestwie.

Król chciał słowa dotrzymać, chociaż niemało go kosztowało, oddawać córkę jakiemuś włóczędze co wiatry gonił. Dworzanie, istne zwierzątka obdarzone bystreimi zmysłami wybiegów, kłamstw i chytrych, zadroszcząc szczęścia jakie spotkało Jasia, poddali królowi sposób zręcznego wykręcenia się z obietnicy. Po wieczery król odprowadził Jasia na stronę i tak doń mówił:

— Od dnia dzisiejszego uważam cię prawie za zięcia, lecz nim na dobre zięciem moim zostaniesz, musisz spełnić jedną rzecz, którą sobie ślubowałem. — Jakiż to ślub? — zagadł Jasio. — Dowiesz się natychmiast — rzekł król.

— Trzeba ci wiedzieć, że niedaleko ztąd mieszka Jędzon rozbójnik, a mój śmiertelny nieprzyjaciel. Dawniej prowadziłem z nim wojnę, i tak go przyparłem, że rad nierad, musiał się cofnąć do zamku leżącego śród boru, na szczycie wysokiej góry. Jędzon ten ma w swojej stajni tak pięknego, tak dziarskiego konia, że i najlepszy malarz wymalować by niepotrafił. Oprócz zwyczajnych zalet stanowiących dobrego rumaka, ma jeszcze i ten przymiot, że gada, tak jak ty, albo ja, co jest rzeczą bardzo przyjemną dla kogoś, co w czasie podróży, a niema do kogo przemówić. Otóż, przed chorobą méj córki, z której ją tak cudownie wyleczyłeś, przysięgłem był nadać jej tylko temu, kto mi tego konia dostanie.

— Czy tylko o to chodzi? — odrzekł Jasio — to mniejsza, już się postaramy.

Pocém zaraz poszedł do swojej izdebki radzić się dowcipnych zwierzątek.

Chrabąszczyk tak się odezwał: oto masz gałeczkę wosku, darowaną mi od mojej przyjaciółki pszczoły. Przyszedłszy do stajni Jędzona, przedziel ją na dwoje

i każdą połówkę włoży w ucho koniowi. Jeżeli użyjesz tego fortelu, niechybnie twoim będzie.

Z kolei świerszcz zabrał głos: trzeba ci wiedzieć, że Jędzon przepada za muzyką. Nieraz przy obiedzie grywać lubi na lutni z niepospolitym talentem. Ma on ogromną plikę dumek i melodię pokomponowanych na śmierć tych osób, które pożarł, i śpiewa je bardzo tkliwie przy akompaniamencie. Weź mię ze sobą do kieszeni, a zobaczysz, jak potrafimy skorzystać z tej słabości Jędzona.

Jasio zaopatrzony w gałeczkę wosku, z świerszczem w kieszeni, kręcił się do koła zamku, otoczonego głębokim rowem pełnym stojącej wody. Niebawem ujrzał Jędzona. Wszelki duchu! jakież to szkaradny potwór! Głowa jak makutra, brwi jak szczotki, oczy jak żarzące węgle, nos jak ogórek, a gęba jak czeluście. Nieustraszony Jasio powitał go nisko, oddając dzień dobry. — Dzień dobry — odparł Jędzon, zapytując: — a czego to szukasz kochanečku? — Jasnie Panie! szukam służby. — Jakię służby? — Na masztalera. — Możesz u mnie zostać, potrzebuję takiego; płacy żadnej niedaję, tylko przyrzekam, że cię niezmam.

Jasia zaprowadzono do stajni, a postrzegł, że niema żywej duszy, rozkroił gałeczkę na dwoje, i każdą połówkę włożył w ucho koniowi. Natychmiast wosk zaczął rosnać, tak rosnać, że zupełnie mu uszy zasklepił i uczynił głuchym jak od Szamotuł. Widząc Jasio co się święci, czémprędzej przypiął sobie ostrogi, skoczył na rumaka, spał go i w całym pędzie wyleciał ze stajni. Lecz przeklęta szkap, w chwili gdy przez dziedziniec czwałował, ryknęła na całe gardło: gwałtu mój panie! gwałtu! Jasio zemną ucieka! — Jędzon z serwetą za pasem, z lutnią w rękę i z gębą napchaną wyskoczył, a za nim żona i wszystka czeladź.

Kiedy cała ta zgraja miała się puścić w pogoń, świerszczyk zawiódł śpiew tak donośny, tak czysty i dźwięczny, że wszyscy otwarłszy gęby, z podziwieniem pozostali na miejscu jak wryci. Koń zaś, mając zalepione uszy, niepodległ urokowi śpiewu, i tego sadził z kopyta. Niebawem zamek zniknął im z oczu, i Jasio z tryumfem oddał go królowi.

Dworacy ledwie niepękli ze złości. Cóż robią? oto idą winszować i pod niebiosą Jasia wysławiać; lecz poszli także do króla i tak mu szeptali: przyszedł zięć waszjej Królewskiej Mości niema sobie równego zucha, sami to przyznajemy, jednakże należy z jego zręczności korzystać i namówić, aby postarał się o koldrę Jędzona.

Zaraz tedy nazajutrz, gdy Jasio przyszedł na pokoje dopominać się o rękę królowej, król ozwał się doń: moja córka prawie do ciebie należy, jednakże przypomniałem sobie tej nocy inny ślub, jaki uczyniłem dawniej; przeto chciej go wprzód dopełnić. — O cóż chodzi? — zagadł Jasio. — Oto, Jędzon przykrywa się koldrą cudownej roboty. Jest ona z czerwonego adamaszku, obszyta koronkami i haftowana złotem. Ale to fraszka. W samym środku wyszyty jest kogut jakby żywy, który pieje i budzi cię o godzinie jakiej mu każesz. Otóż, wracając do rzeczy, ślubowałem, że córka moja pierwszą noc po weselu musi spać pod tą koldrą. — I nic więcej — rzekł Jasio — postaramy się.

(Dokończenie nastąpi.)

Krewni królewscy.

(Dokończenie.)

Małeńka Joanna Valois miała w Troyes w Champagne wuja, który był głową całej rodziny. Na placu jednym tego miasta stała obok kościoła katedralnego, przy murze ogrodu biskupiego buda drewniana. W każdej porze słyhać było w niej śpiew i kołatanie młotka. Wuj Joasi Valois znał także swoje pochodzenie, i dowiedział się o wszystkich szczegółach życia swoich prodków od ojca, który w roku 1759. w szpitalu paryżkim umarł. Wielkość ludzka bynajmniej nieobudzała w nim dumy, uważał ją z obojętnością filozofa, a nawet nią pogardzał. Z tego powodu niemał żadnych uroszczeń, spał smacznie, śpiewał jeszcze lepiej, pił wybornie i był szczęśliwszym niż sam król francuski. Wesołość ta niebyła bez zasługi, kiedy wspomnimy, iż Henryk Valois, potomek dynastji Kapetów, to jest najdostojniejszej panującej rodziny w Europie, był tylko partaczem w rzemiośle szewskim.

W roku 1778. otrzymał oddział gardikorów towarzyszących królowi na ustron wiejską w Chateau-villain rozkaz, do powrotu przez Troyes i pozdrowienia szewca dostojnego, z oddaniem się pod jego rozkazy. Rozprawiano w Wersalu o następcy Henryka II., jedynym reprezentancie odnogi pochodzącej od Franciszka I. Gwardya była posłuszną. Gdy na placu stanęła niedaleko budy, usłyszała głos wesoły śpiewającego szewca, bijącego do taktu swym młotkiem. Na łańcuszku żelaznym wisiął na budzie sztyl białą, na którym czarny bót był wymalowany z napisem: Hen-

ryk, łątacz obuwia ludzkiego. Gwardya ubrana w przepyszne mundury, zdjęła swe hełmy z głowy, trzymała je pod pachami i prowadzona przez porucznika, zbliżyła się z uroczystością pod drzwi budy.

Szewe nieprzyzwyczajony do takich gości, z początku spojrzął na nich z pewnem zadziwieniem. Potém oczy jego zwróciły się ku nogom porucznika, a postrzegłszy u niego trzewiki z czarnego marokinu z brylantowymi sprzączkami, rzekł:

— Omyliłeś się mój panie, ja tylko robię obuwie ze staréj skóry. Udaj się do majstra Krzysztofa, w uliczkę pierwszą na prawo.

Porucznik, markiz Nantouillet wymienił swoje nazwisko i rozwodził się z całą galanterią dworaka nad powodem swoich odwiedzin. Partacz pochwycił za swą szlafmycę, zrzucił pięścią trzy pary zbloconych butów ze stołka i prosił porucznika, aby siadł obok niego. Dwóch kornetów, trzech podoficerów i czterech żołnierzy pozostało za budą, bo niemieli tam miejsca i jeno przypatrywali się rysom najdostojniejszej twarzy przez czeluście desek.

— Król dowiedział się — rzekł markiz siadając — iż się pan znajdujesz w przykrém położeniu, które nieodpowiada jego wysokiemu urodzeniu. Najjaśniejszy Pan przeto postanowił osłodzić los pański tak, jak już o jego siostrzenicy pomyślał.

— Bardzo wątpię, rzekł partacz i kręcąc głową, czyli łaska królewska na coś dobrego dla mojej siostrzenicy się przyda. Wiem ja to dobrze, mój panie poruczniku, iż gdyby Henryk II. był zawołał księdza i notariusza, stołek ten, na którym siedzę, zamieniłby się w tron, ten ot młotek w berło, któreby dla moich poddanych nie tak było twarde, jak ten pociągiciel, a zamiast szlafmycy, pokrywałaby głowę moją złota korona, połyskująca brylantami, acz cięższą by mi była.

Markiz nie lada zadziwił się tą śmiałą mową. Skłonił się i pokrył swe zadziwienie pod lekkim uśmiechem. Partacz tak dalej mówił; mój markizie, patrz na moich kuzynów Burbonów, którzy noszą na swéj głowie koronę Francyi, bez najmniejszej zazdrości, i czyliż można Ludwikowi XV. zazdrościć? Jestem sobie śród czterech ścian moich panem, nikt nie ma powodów mnie oszukiwać i żyję z całym światem w pokoju. Czyliż król to samo może o sobie powiedzieć? Ale, ale, przypominam sobie, że mam spieszną robotę, trzeba mi ją kończyć, czy pozwolił?

A śmiały starzec, który z zamiarem obszedł się tak lekko z królem i jego wysłańcem, pochwycił za skórę, którą rozmięczył w wodzie i począł w nią młotkiem uderzać.

Namyśl się pan jeno cokolwiek, rzekł markiz Nantouillet.

Jużem się namyślił, ja nie niepotrzebuję.

Masz pan dzieci? rzekł dalej markiz, przyjm dobrodzieństwo króla dla nich, przynajmniej one podniosą dostojność rodziny do stopnia, który się ich urodzeniu należy.

Partacz przestał robić, podrapał się za uchem, potém pociągnął szlafmycę aż po uszy i rzekł: pozwól mi się pan otwarcie wystawić; mojem zdaniem chłopcy te tak mało przyniosłyby zaszczytu naszej rodzinie, jak ich siostrzenica. Prawda, rzecz ta do nich należy, przyjmując łaskę królewską dla nich, bo niewolno garnka rozbijać z polewką. Czy pan rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? mówił dalej Henryk Valois, patrząc w oczy oficera z trwogą żartobliwą. Król ma zamiar to samo uczynić, co ja robię codziennie.

— A cóż takiego?

— Przyszyć i połatać.

— Bardzo pięknie! bardzo pięknie! rzekł oficer z wielkim śmiechem.

— Patrz oto mój panie, łątanina długo nie trzyma.

— Pozwól uczynić mi uwagę, iż pozostanę przy twojem porównaniu, i powiem, iż robota królewska trwać będzie. Będę miał zaszczyt uwiadomić króla o jego zdaniu.

— Ja sam — rzekł partacz nie bez dumy — kiedyś podziękuję dostojnemu kuzynowi mojemu. Ale przypatrz się pan — mówił szewe dalej do oficera, pokazując mu bót podarty — trzeba się spieszyć, mamy tu cały parlament na wygnaniu, a obowie tych panów, co powrócą do Paryża, musi być na godzinę skończone. Apropoz! kiedy mój kuzyn pamiętał o moich dzieciach, zapytam i ja jak się ma jego małeńki i jego córeczka?

Pan Nantouillet odpowiedział, iż j. k. mość książę Dauphin i j. k. mość księżniczka zupełnie są zdrowi.

— Bardzo mnie to cieszy — odrzekł szewe. — Pozdrówcie odemnie mojego kuzyna i jego żonę.

Markiz Nantouillet wstał ze stołka i nisko się skłonił. Po nim jeden po drugim żołnierz następował i oddawał swe uszanowanie szewcowi, który przed porucznikiem napół uchylił szlafmycę, a podoficerów i żołnierzy skinieniem głowy pozdrawiał łaskawie. Przypadek zabawny zepsułby niemal całą uroczystość. Stołek, na którym siedział poseł Ludwika XV., przypięty się za pomocą paku do pantalonów jego jedwabnych tak dalece, iż go aż do drzwi zaniósł, z czego się bardzo partacz uśmieł.

Skoro goście oddalili się, ozwał się młotek dawnym zwyczajem, przy odgłosie staréj piosenki, — na

dowód, iż widok przyszłej wielkości bynajmniej nie-pomieszał myśli łączacza ludzkiego obuwia. Był to człowiek, jakiego tylko w pieśniach Berangera napotykamy.

Ówczesne czasy były tego rodzaju, iż pozwalano sobie wszystko, byle tylko miało zakrój filozoficzny, i z tego powodu Ludwik XV. bynajmniej się niegniewał na Henryka Valois za jego odpowiedzi dojmujące, wyznaczył mu znaczną pensją i wyniósł do stopnia hrabiego. Synowie jego weszli do armii. Jeden z nich, baron Saint Remy, został kapitanem korwety, ale żaden z nich, jak przepowiedział ich dostojny ojciec, nieprzyniósł zaszczytu swojej rodzinie. Dzieje naszyjnika nieszczęsnego rzuciły złowrogie światło na rodzinę Valois, a pokrewieństwo z hrabiną Lamotte było nieszczęściem, z pod którego niełatwo otrząść się było można. Potomkowie jakiegokolwiek rodu, niech co kto mówi, solidarnie za ród swój odpowiadają. Wielka bieda nastąpiła w tej rodzinie po głębokim upadku moralnym. Nakoniec wybuchła rewolucya, a potomkowie Henryka II. znów wrócili do stanu, w którym się znajdowali w połowie przeszłego wieku. Gdzież są teraz owi potomkowie słynnego dawniej rodu? może jeden żyje na przedmieściu najuboższém Paryża, drugi, jak owa hrabina de Lamotte pasie bydło w jakim zakątku Champagnii. Małgorzata Valois, którą przed chwilą widzieliśmy idącą za trumną swojego siostrzeńca, żywi się w ten sposób, iż daje mieszkanie i jadło bezzennym czeladnikom. Dzieło pani Boulain-villiers na nowo trzeba rozpocząć. Dlaczego? gdyż źródło zewnętrznego wyniesienia w nas samych spoczywa. Siła i pomoc drugich mało nam dopomaga. Bóg nas pozostawił samym sobie, my sami mamy o losie naszym stanować, abyśmy cześć lub hańbę odbierali według uczynków naszych. Bóg chciał, aby królowie tworzyli ulubieńców, których szczęście tém więcej zaślepia, im bliżej stoja upadku, i znikają jak słońce, gdy burza nadchodzi.

Przypatrzmy się Amyotowi, Wincentemu z Pauli i Sixtusowi V., pierwszy znaleziony prawie śmiertelny na drodze, został arcybiskupem w Sens i nauczycielem króla Francyi; drugi, syn biednych rękodzielników, którzy niewiedzieli z kąd wezmą chleb codzienny, odznaczył się szeregiem niepoliczonych cnót i dziełmi dobremi; trzeci został z pastuchy wieprzów papieżem. Chevert, Catinat i Colbert zawdzięczali tylko sobie swoją wielkość, niewiadomy ich ród i początek, nieznaną dalszą drogą, widzimy tylko chwilę u nich ostatnią, w której zajaśniali blaskiem, który podziwiał świat cały.

Saint Remy Valois porodili się w królewskich pałacach, blask tronu odbił się o ich kolebki, a w trzy-

sta lat czekał ich wóz biednych, i wspólny grób zapomnienia. Nasze zasługi i cnoty tylko mają wartość i utrwalają po nas pamięć, jesteśmy dziećmi własnych naszych czynów. Zasłużone szczęście ma tylko trwałość!

ROZMAITOŚCI.

— Z Poznania. — „Roku 1846.“ wyszedł poszyt II. i zawiera; 1) Socyalizm i polityka. 2) O stanowisku i dziełach autora Irydiona. 3) Rewolucyjne poruszenie we Włoszech. 4) O sądach polskich. 5) Rozmaitości.

— Pewien lekarz niezbyt zręczny w swojej sztuce, a jednak tyle dumi posiadający, iż samemu Panu Bogu dalby niejedną radę, gdyby go się zapytał przy tworzeniu świata. I tak żałował, że człowieka nie można otwierać i rozbierać jak zegara. Również łatwą uważał rzeczą, gdyby Pan Bóg nas był opatrzył okienkiem na piersiach lub głowie, przez które mogliby lekarze bez trudu patrzeć i rozpoznawać cierpienia i choroby ludzkie. Gdyby ten pocciwy lekarz żył dotąd niepotrzebowałby czynić wyrzutów Panu Bogu. Niemamy wprawdzie okienka na piersiach lub głowie, ale posiadamy pewną jeszcze lepszą własność, jesteśmy przezroczystymi. Belgijski jeden lekarz uczynił doświadczenie, iż światło elektryczne, sprowadzone na pewne części ciała, czyni je przezroczystymi. Przy tém prawdziwie czarodziejskiem świetle można odtąd wyraźnie rozpoznać żyły i nerwy, wszystkie czynności rozmaitych organów w ciele. Nasze cierpienia i przyczyny ich będą widoczne. Czyli będziemy w stanie je uchylić, jest inne pytanie. A jeżeli ten wynalazek belgijski nie przyłoży się do leczenia, do zdrowia naszego, pociechę mieć przynajmniej będziemy, kiedy się dowiemy, dla czego chorujemy, i to jest już wielką pociechą.

— Przed kilku dniami umarł w Paryżu pewien Anglik, nazwiskiem Lewis Goldsmith i pozostawił wielki majątek, który zebrał w haniebny sposób. Na początku panowania cesarskiego przybył do Francyi, jak powiadał, iż go w Anglii prześladowano, lecz właściwie z polecenia swojego rządu uważał, co robił Napoleon. Przytém tak dalece umiał zarobić sobie na zaufanie cesarskiej policji, iż został mianowany członkiem sądu, który wyroki wydawał na zabierane łupy przez korsarzy. Wydawał nawet w Paryżu angielską gazetę, w której miotał ohydne pociski na rząd

angielski. Mimo to nietylko utrzymywał korespondencją tajną z dworem londyńskim, ale nawet ze wszystkimi dworami, gdzie się znajdowali nieprzyjaciele Napoleona. Po kilku latach tego niecnego zatrudnienia, zniknął nagle jednej nocy i udał się do Londynu, gdzie pod tytułem „Czarny gabinet“ ogłosił pismo obelżywe, w którym Napoleona, jego rodzinę, ministrów, marszałków i generałów haniebnie błotem oburzuł, tak dalece, że pismo to samych Anglików oburzało. Po upadku Napoleona przybył Goldsmith do Paryża, aby odebrać nagrodę za swoje usługi. Lecz niezadowolony wdzięcznością Burbonów, wrócił znowu do Londynu i wydawał Monitora antifrancuzkiego, w którym obszedł się z panującą rodziną Burbonów podobnie jak z Napoleonem. Ówczesny poseł francuzki w Londynie otrzymał zlecenie do okupienia jego milczenia i zapłacono mu w tym celu 100,000 franków. W następnym numerze pisma nieumieścił wprawdzie żadnych obelg, tém gorzej obszedł się w następnych, a kiedy poseł użalał się na niedotrzymanie umowy, tłumaczył się Goldsmith, że pismo to jest własnością nakładcy, że je tylko trzymają nieprzyjaciele Francyi, i dla tego w tym duchu musi być wydawane; uważał nakoniec, iż nie ma innego sposobu, jak odkupić to pismo od nakładcy. Uczynił i to poseł, a później dowiedziano się, że Goldsmith był właścicielem tego pisma. Po lipcowej rewolucyi znów przeniósł się ten bezecny człowiek do Paryża, gdzie żył aż do swojej śmierci wystawnie i uczęszczał do pierwszych towarzystw.

— Dnia 6. Lutego umarł w Berlinie minister Bülow. Zwolennicy przeczucia zapewne znajdą i w śmierci jego pewną przepowiednię. Kiedy już stracił dnia 5. Lutego przytomność, ciągle powiadał, iż na bardzo ważną konferencyą na drugi dzień jest zaproszony o pierwszej godzinie. Nastawić więc kazał na tę godzinę zegar i umarł właśnie nazajutrz o 1. godzinie.

— Tancerka Maria Taglioni jest jak wiadomo bardzo bogata i posiada uroczą willę na jeziorze Komer. Zaprosiła tam swe najsłynniejsze współzawodniczki na kongres wiosenny, a niemi są; Fanny Elsler, Cerito, Carlota Grisi i Lucile Grahn.

M O D Y.

Paryż, dnia 28. Marca 1846.

Dziś starać się będziemy opisać wizytki mantylowe. Są one z tyłu okrągłe, jak właściwe wizytki, ale róż-

nią się tém, iż zaraz od szyi rozchodzą się i są otwarte na piersiach. Odtąd spadają w dwa długie pasy, które tworzą właściwą mantyllę. Wystrój ich stosuje się do upodobania dam modnych, najwięcej robią go sposobem pasamonowym, lub z trzech ukosowych paszków, które się zakończają małą robotą pasamonową z jedwabiu. Jak wizytki będą miały dwa otwory do przetykania ramion. Z pewnością zaręczycie możemy, że wizytki i mantyle na wiosnę będą modnymi, i że mantyle otrzymają wcale inną formę, która będzie miała coś wspólnego z wizytką i mantyllą.

Mantyle, pozostając w pierwotnej formie, z tyłu mniej będą długimi i zbliżać się będą podobieństwem do dawnych długich szali. Moda w tym roku będzie dosyć wyrozumiałą, zatrzyma skromne wizytki, mantylowe wizytki, koronki i haftowane musliny, równie jak długie mantylowe szale.

Tkaniny jedwabne będą następujące: lśniące jedwabie, w proste pasy, jednokolorowe, szare lub koloru pilśniowego jedwabie, które łatwo zespolają się ze wszystkimi kolorami.

Kształty sukien będą rozmaite, największa część otrzyma oszycie w kształt fartuszka burtami, na których znajdować się będą fręzle niekręcone z haftem ze sznurowadł, lub w kształcie brandenburów.

Roboty pasamonowe podobają się w ogóle.

Kolor czarny tak jest w modzie, że go wszędzie i o każdej porze używają.

Kołnierze noszą damy zawsze jeszcze małe, czasem podwójne, tak, iż między nimi przechodzi wstążka.

Czepeczki są haftowane, z szerokimi koronkami i orzucone kitajkowymi wstążkami w dwóch kolorach.

Co się tyczy nowych kształtów kapeluszy, wszystkie robione z materii, mają małe obwód nad szyją, jak kapotki i wcale nie są podobne krojem do kapeluszy pamelowych. Toż samo powiedzieć wypada o kapeluszach krepowych i słomkowych, które także mają strój nad tyłem szyi, a z przodu dosyć są otwarte.

Objaśnienie ryciny.

1. Suknia aksamitna, ozdobiona koronkami. Strój włosów z kwiatów.
2. Strój głowy z diademem; suknia jedwabna orzucona tulem.
3. Ubranie malarza paryzkiego.